

BERLIN

23 listopada 1943 roku

Syreny alarmowe zawyły tuż po północy. W piwnicy słyszeliśmy kaszel dział przeciwlotniczych na granicach miasta i pomruk bombowców – przetaczające się dudnienie stóp olbrzymia. Wszystko to znaliśmy aż nazbyt dobrze, ale tym razem pijany olbrzym, zataczając się, zmierzał prosto w naszą stronę. Czuliśmy drżenie kamienicy nad głowami, słyszeliśmy szyby wybuchające kryształowymi fontannami, dobiegła nas dziwna, pełgająca nisko woń bomb zapalających. Lecz po chwili ogłuszające stąpnięcia zaczęły się oddalać, a rumor ucichł, by po kilku minutach ustąpić miejsca rykowi pożogi ogarniającej okolicę. Gwałtowny spadek ciśnienia wyrwał z zawiasów drzwi od piwnicy. Poderwaliśmy się, by dopchnąć je barkami na miejsce. Uszy i skronie pulsowały. Płakaliśmy wniebogłosy. Modliliśmy się.

– Mimo wszystko – zwróciłem się następnego ranka do Herr Silbera – Anglia jest najbardziej cywilizowanym krajem na świecie.

Moje słowa zawisły jak wykute w lodowatym powietrzu biura. Spotkały się z pełnym niedowierzaniem milczeniem. Kilka poirytowanych par oczu zwróciło się w naszą stronę, by zaraz powrócić do papierkowej roboty. Większość moich współpracowników z departamentu redakcyjnego frontu wschodniego zdołała dotrzeć do pracy. Jak przypominał nam nieustannie doktor Goebbels: w Rzeszy nie ma już żadnych praw, są tylko obowiązki.

– Bez wątpienia, Herr Nabokow – odpowiedział niezbyt pewnym głosem Herr Silber – żyjemy w ciągłym napięciu. Być może rozważy pan wzięcie wolnego na resztę dnia.

Wiedziałem, że starał się być uprzejmy. Wszyscy w biurze zdawali sobie sprawę z tego, co właśnie zaszło. Poczulem nieprzyjemny zawrót głowy, wstałem i się ukloniłem.

– Danke sehr – powiedziałem. – Prawdopodobnie tak zrobię.

Nie da się cofnąć wypowiedzianych słów. Tak wygląda rzeczywistość Rzeszy. Nikt nie wie tego lepiej od pracowników Ministerstwa Propagandy.

Herr Silber pożegnał mnie jak zwykle sztywno wyciągniętą ręką. Odwzajemnianie pożegnania nie miało już sensu, więc tego nie uczyniłem.

Wychodząc z biura, czułem na sobie wzrok wszystkich. Plakat na korytarzu ostrzegał: WRÓG WIDZI ŚWIATŁO! ZGAŚ JE! Na frontowych schodach leżało pełno odłamków szkła. Poza tym ministerstwo pozostało zadziwiająco nietknięte. Sąsiednie budynki przy Wilhelmstrasse nie miały tyle szczęścia: stara Kancelaria Rzeszy, Arsenal, hotel Budapeszt legły w gruzach. Ominąłem lej po bombie niemal tak szeroki jak sama ulica – krater wypełniła już woda z pękniętej rury. Nad krawędzią chwiała się wypalona ciężarówka. W pobliżu leżał bezgłowy manekin, któremu wolałem się nie przyglądać. Przez całą prawie niemożliwą do pokonania drogę w powietrzu wisiał gęsty pył, ohydny oleisty popiół, smród spalenizny, nafty i Bóg wie czego jeszcze. Jakieś nieziemskie cienie sunęły między wypalonymi tramwajami i autobusami. Na Kurfürstendamm zażywna panusia w cienkiej podomce i etoli z lisa zarzuciła mi ramiona na szyję. Odwzajemniłem jej uścisk już choćby dlatego, że oboje żyliśmy.

– Cóż za nikczemni barbarzyńcy! – wołał Herr Silber. Nie zwracał się do nikogo personalnie w lodowatej skorupie biura. – Mordercy. Szakale. Żydzi! Anglicy to najwięksi ze wszystkich wojenni zbrodniarze!

Czy można go winić? Burza ogniowa przetoczyła się przez miasto z zachodu na wschód. Charlottenburg, Unter den Linden, Alexanderplatz – wszystko, jak mówiono, w ruinie. Mimo to powiedziałem to, co powiedziałem: *Trotz allem, England ist das zivilisierteste Land der Welt**.

W zeszłym tygodniu aresztowano dziewczynę z sąsiedniej kamienicy za niezgodne z prawem słuchanie zagranicznych radiostacji. Nie dalej jak wczoraj widziałem na własne oczy, jak ci z Sicherheitsdienst wyciągnęli z tramwaju pewnego starszego pana, który w rozmowie ze współpasażerem wspominał o tym, o czym wszyscy wiedzieli – że wojna nie toczy się po myśli Reichu. Cywilizowani chłopcy z RAF-u nie zburzą tego miasta tak doszczętnie, żeby gestapo nie znalazło do mnie drogi. Ucieczka nie wchodzi w grę. Dokąd miałbym uciec? Nansenowski paszport rosyjskiego emigranta jest obecnie bezwartościowy. Poza tym jestem przestępcą seksualnym skazanym prawomocnym wyrokiem sądu, objętym policyjnym nadzorem po wypuszczeniu w zeszłym roku z austriackiego więzienia.

Piszę te słowa w mym nadwerżonym po bombardowaniu mieszkaniu przy Ravensbergerstrasse. Nie mam już okien ani prądu, ani wody, mam za to nerwy w strzępach – nie umiem pozbyć się wspomnienia tamtego bezgłowego manekina. Dodaje sobie odwagi czarnorynkową brandy, którą chomikowałem na wesele w przyszłym tygodniu. W ostatniej powieści niezrównanego V. Sirina** – dosyć popularnej w naszych emigracyjnych kręgach – pewien skazaniec zastanawia się, jak ma zacząć pisać, nie wiedząc, ile mu zostało czasu. Jakież męki odczuwa, zdając sobie sprawę, że wczoraj czasu wciąż było dosyć... gdyby tylko wczoraj pomyślał i zaczął pisać!

* Mimo wszystko Anglia jest najbardziej cywilizowanym krajem na świecie (niem.) [wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza].

** Pseudonim literacki Władimira Nabokowa.

SANKT PETERSBURG

Urodziłem się w Sankt Petersburgu 12 marca 1900 roku jako drugi syn Władimira Dmitrijewicza Nabokowa i Jeleny Iwanowny Rukawisznikowej. Ojciec mój był powszechnie szanowanym prawnikiem kryminologiem, publicystą i wybitnym kadetem – jak nazywano wówczas członków przeciwnej carowi Partii Konstytucyjno-Demokratycznej. Matka wywodziła się z fantastycznie bogatego rodu, lecz choć liczni wrogowie ojca poszeptowali zazdrośnie, iż małżeństwo to zdradzało oznaki pewnego wyrachowania, nigdy nie zauważyłem między rodzicami niczego innego poza nieustającą i prawdziwie godną pozazdroszczenia miłością.

Pierwsza podjęta przez rodziców próba splodzenia potomka zakończyła się fiaskiem – syn przyszedł na świat martwy. Zatem ten pierworodny, który przeżył, Władimir Władimirowicz, stał się dla nich największym skarbem. Domyślałem się, że mój własny debiut na tym świecie zaledwie jedenaście miesięcy później przyjęto mniej entuzjastycznie. Przez lata wielokrotnie zastanawiałem się nad sposobem postrzegania przez mego brata owego przedwczesnego intruza w jego prywatnym raju i doszedłem do wniosku, iż jego antypatia wobec mnie musiała wynikać w przeważającej części z obawy, że reprezentuję sobą pospieszną rewizję aktu stworzenia dokonanego przez Stwórcę, co, w taki czy inny sposób, mogło źle świadczyć o jego wcześniejszym dziele.

Co się tyczy mych niekochających mnie bezgranicznie rodziców: byli rozczarowani – o czym powiadomiła mnie później ma niepotrzebnie szczerą babka Nabokowa – przekonawszy się, że ich drugi potomek jest nieledwie bladą kopią pierwszego. Byłem niesłychanie apatycznym dzieckiem – krótkowzrocznym, niezdarnym, notorycznie leworęcznym mimo licznych prób „uzdrowienia” mnie oraz napiętowanym jękaniem, które wraz z wiekiem tylko się potęgowało.

Jedno z moich najwcześniejszych wspomnień... Miałem chyba cztery lata. Rosja toczyła wojnę z Japonią, a moja matka, brat i ja rozlokowaliśmy się wraz z naszą angielską guwernantką, niejaką Miss Hunt, w hotelu Oranien w Wiesbaden, wysłani przez ojca za granicę ze względu na pogarszającą się sytuację polityczną w kraju. Niewiele pamiętam z tej niemieckiej zimy, pominąwszy młodego hotelowego windziarza. Z pewnością nie miał więcej niż piętnaście, szesnaście lat, ale stał się dla mnie uosobieniem męskości i wydawał mi się niezmiernie przystojny w swoim złocistym toczku, pąsowej kurtce i ciasno opiętych czarnych jak atrament spodniach z pojedynczym, zaprasowanym, srebrnym lampasem biegnącym wzdłuż każdej nogawki. Nie pamiętam tego, wszak mówiono mi później, iż miałem w zwyczaju chwycić go kurczowo za jedną lub drugą nogawkę, gdy przestawiał dźwignie windy – zupełnie jak małpka towarzysząca kataryniarzowi usuwanemu nieustannie przez obsługę hotelu z chodnika przed frontowym wejściem.

I właśnie tamtej zimy mego pierwszego niewinnego zauroczenia brat mój przekonał mnie, abyśmy uciekli z hotelu, który z jakiejś przyczyny wydał mu się więzieniem, a nie pałacem. Nie umiem sobie przypomnieć, jakie słodczyce czy inne pyszności obiecywał mi w nagrodę Wołodii, ale pamiętam doskonale naszą jazdę z czwartego piętra na dół oraz to, że czarujący windziarz nie widział niczego zdrożnego w zwożeniu dwóch chłopców całkiem bez opieki prosto do hotelowego foyer. Wołodii pobiegł przodem, a ja przystanąłem, położyłem dłoń na sercu i przesłałem memu rozbawionemu bóstwu rozpaczliwe *Adieu, mon ami!*, które powtarzałem gorączkowo w głowie przez całą jazdę w dół. Potem puściłem się pędem, by dogonić mego charyzmatycznego brata, który przemykając między nogami gości, zdołał opuścić już hałaśliwe foyer i znalazł się na jeszcze bardziej hałaśliwej ulicy.

Kataryniarz i jego niebieskooka małpka zerknęli na nas z ukosa. Aleja była labiryntem dudniących powozów i elektrycznych tramwajów tryskających przeraźliwymi błękitnymi iskrami. Nigdy przedtem nie opuściłem Oranien, nie trzymając mamy czy też Miss Hunt za rękę. Do dziś zdumiewa mnie to, że Wołodii wiedział doskonale, dokąd chce iść w ulicznym zgiełku. Starłem się usilnie dotrzymać mu kroku, gdy odwracał się ku mnie przez ramię z wyrazem poirytowania na twarzy, wskazującym, iż żałował już, że namówił mnie na tę eskapadę.

Po chwili zdałem sobie sprawę, że się zgubiliśmy. Nie spuszczałem oczu z granatowego marynarskiego ubranka Wołodii. Niebo było pochmurne i mdłe, powietrze chłodne i ciężkie, a miasto jednolicie szare. Tylko mój brat był roztańczoną kropką kolorów i energii. Nie umiem powiedzieć, jak długo wędrowaliśmy, ale w końcu znaleźliśmy się nad rzeką, nad którą parokrotnie zawoziła nas powozem Miss Hunt na spacer po promenadzie.

Na molo, przy którym cumował parowiec, panował rozgardiasz, gdyż na pokład wchodzili właśnie ostatni pasażerowie. Wołodii bez chwili wahania zatupał po trapie, na końcu którego zatrzymał go srogi marynarz z olbrzymim wąsem.

– Ależ proszę pana! – zaprotestował nienaganną angielszczyzną mój brat. – Nasi rodzice są już na pokładzie. Będą się strasznie niepokoić, jeśli się zgubimy. – Wołodii rozejrzał się i zwrócił do tłumy: – Proszę nam pomóc! Czy jest tu jakiś Anglik, który pomoże angielskiemu dziecku?

Wszyscy wpatrywali się w dzielnego pięciolatka i jego skulonego ze strachu braciszka.

– My, kochanecku, jesteśmy z Ameryki – zawołała jakaś pani o obfitych kształtach, trzymająca na ręce małego czarnego pinczera. – Wejdziecie ze mną na pokład, moje dziecko. Czy to się komuś podoba, czy nie!

Ukryci w fałdach jej spódnicy przeszliśmy przez posterunek, po czym Wołodii zawołał: „Mamo, papo!” i chwyciwszy mnie za rękę, wyrwał nas spod kurateli wybawczyni. W tej samej chwili parowiec zadrżał od dziobu po rufę, zapiszczał gwizdek, a statek odbił od mola.

Pamiętam spokój ołowianej rzeki, kiedyśmy wypływali z miasta, a domy ustępowały miejsca polom i winnicom. Przez całe późniejsze życie, już to w Paryżu, Londynie czy Berlinie, kiedy dane mi było słyszeć wznoszące się wolno Wagnerowskie akordy wprowadzające córy Renu, wracałem myślą do tego parowca na rzece i znów stałem na jego pokładzie obok mego nieustraszonego, szalonego, gotowego na wszystko brata, i znów czułem na owiewanych wiatrem policzkach łyżę przerażenia i tęsknoty, którym w końcu pozwoliłem płynąć.

– Co zrobimy? – Ikałem.

– Wszystko! – zapiał, rozkładając szeroko ręce. – Popłyniemy do Ameryki, Sierioża! Będziemy polować na słonie, cwałować na mustangach, poznamy dzikich Indian! Tylko pomysł!

Przy następnej przystani czekał na nas żandarm, który zapakował nas do policyjnego landa. Windziarz, jak się okazało, po naszym wyjściu bez opieki na ulicę bardzo szybko puknął się w głowę i doniósł o naszej ucieczce. Hotelowa obsługa wysłedziła nas do mola i pojawiła się przy nim w chwili, gdy parowiec odpływał i był już poza zasięgiem gorączkowych nawoływań.

Po powrocie do hotelu mój brat zniósł ze stoickim spokojem wszelkie dyscyplinujące poczynania mamy. Tata, kiedy powiadomiono go o naszym wyczynie, uśmieł się serdecznie. Wszyscy, zda się, wyczuli, iż byłem tylko mimowolnym współnikiem brata. Jedyną osobą, która poniosła trwałą szkodę, była nieszczęsna Miss Hunt, zwolniona natychmiast z racji karygodnego zaniedbania obowiązków, które umożliwiło nam opuszczenie hotelowych pokoi – nie była pierwszą ani ostatnią z naszych guwernantek pokonanych przez Wołodę. A co się tyczy przystojnego windziarza – już nigdy go nie ujrzałem. Wydaje mi się obecnie, że i on mógł stracić przez nas zatrudnienie.

